Nr 47. We Lwowie dnia 21. listopada 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Modlitwo moja, cicha i bez słów.

Modlitwo moja, cicha i bez słów,
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów.

Z głębin powstajesz, a ku wyżom mkniesz,
Na skrzydłach dziwnie tajemniczej mocy;
Niema-ś, a jęczysz, jak zraniony zwierz,
Rozbrzmiewa wokół wielki płacz sierocy,
Gdy, wstawszy z głębin, ku wyżynom mkniesz.

Łowisz po drodze głuche szumy drzew,
Które wiatr bujnej pozbawił korony:
Przygnębiający pogrzebowy śpiew,
Na strunach żałob jesiennych zrodzony,
Łowisz po drodze z serca nagich drzew.

Nad brzegi idziesz spochmurniałych wód,
Na żółte łąki, na zwiędłe ścierniska,
Mgłą się opijasz, przejmuje cię chłód,
Co z ziół zeschniętych siwy szron wyciska
Ponad brzegami spochmurniałych wód.

Odlatujący ścigasz ptactwa klucz,
Śledzisz, czy bracia w drodze się nie znużą;
Żałość wyziera z twych poblakłych ócz,
Gdy spoczniesz w gnieździe, rozrzuconem burzą,
W gnieździe, skąd ptactwa precz uleciał klucz.

Porywasz szepty z spiekłych ludzkich warg,
Wnikasz do wnętrza złamanego człeka,
Niedomówionych lub przycichłych skarg
Żywisz się strawą: radości daleka,
Chłoniesz szept bólu z spiekłych ludzkich warg.

Modlitwo moja, cicha-ś i bez słów,
Choć jesteś sercem głośnych jęków świata,
Który, ścigany przez złowróżbny huf
Nędz nieodstępnych, ku gwiazdom ulata
Z tobą, modlitwo cicha i bez słów.

Na ziemię bożą wielki upadł cień,
Widma rozpaczy po jej ścieżkach suną,
Powietrze pełne ich wymownych drżeń,
Że mrok się rozlał nad zagasłą łuną,
Że na tę ziemię wielki upadł cień.

W wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz,
Zgłuchły zwycięskich pochodów tententy;
Z dróg się podnosi suchy, biały kurz,
Ale z pod ciężkich stóp orkanu wszczęty,
Co w boju wieków pobił zastęp dusz...

Długie westchnienie krwawych, przeszłych lat,
Zgasłych na polu przygasłej już chwały,
Oto mój pacierz! Nie cząstka, lecz świat
W jego cichości zamyka się cały
Długiem westchnieniem krwawych, przeszłych lat.

Sil się, milcząca modlitwo, ach! sil,
Abyś w sferycznej swej drodze nie padła,
Straszną rozterką tych dzisiejszych chwil...
O jak gorzkiego potrzeba ci jadła —
Sil się, niesyta modlitwo, ach! sil!...

Beznadziejnością nadchodzących dni
Wzbieraj w ogromy skargi niebosięgłej,
Niemej, a głośnej! Dusza o tem śni,
By wzruszyć globów płomienistych węgły
Beznadziejnością nadchodzących dni.

Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból,
Który rozsadzi ziemię na atomy,
Nim szczęście zdąży wzrosnąć śród jej pól!
O ciało słabe! o duchu znikomy:
Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból!

Modlitwo moja, cicha i bez słów!
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknocie złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja cicha i bez słów!...

Jan Kasprowicz.

W GÓRACH KAUKAZU.

W stanicy Dżilik przed szynkiem stał wóz, zaprzężony w rosłego konia. Na wozie siedział, zwiesiwszy nogi, barczysty, młody mężczyzna, ubrany w szarą bluzę i czarny, pilśniowy kapelusz. Przez ramię miał przewieszoną jednę dubeltówkę, a na kolanach drugą. Powoził słuszny wyrostek w niebieskiej koszuli i białym mingrelskim kołpaku. Obaj podróżni niecierpliwie spoglądali w stronę szynku, gdzie snuł się różnobarwny tłum. Czuć było pewne rozleniwienie wśród tego świątecznego zbiegowiska: znaczna część próżniaczego dnia już była ubiegła, zużywając pierwsze zapasy wesołości. Nazajutrz znowu miało być święto, więc błądzili wzrokiem, czekając nowych wrażeń, nadstawiali ucha, by coś nowego posłyszeć, kłócili się lub rozmawiali spokojnie. Po zalanych słońcem ulicach wałęsały się psy, świnie, dzieci i kury. Pod rozłożystym orzechem gromadka starszych gospodarzy próbowała zawiązać gawędkę. Pod ciemnym płotem, z wikliny plecionym, siedziały na balach kozaczki w jaskrawych strojach. Rozmawiały mało, zajęte gryzieniem nasion słonecznikowych, których zapasy miały za koszulą na piersiach. Obok dziewcząt siedzieli postrojeni chłopacy i korzystali, ile się dało, z prawa wydobywania własnoręcznie ziarnek z ich ukrycia. Przejrzysty, błękitnawy, słońcem dźwigany cień padał od płotu, i od bladych, nad nim zwieszających się, chłodem jesiennym dotkniętych kwiatów na twarze ich, błyszczące, rozmarzone oczy, koralowe, rozchylone usta, rumieńcem okraszone policzki i zęby, jak śnieg, białe. Wszędzie kładły się cienie na pozłoconej ziemi: od białych domów, od drzew, ogrodzeń, od gór wdali.

Jakiś oberwaniec zbliżał się do szynku niepewnym krokiem; ujrzawszy wóz, zatrzymał się.

— Z kolonji?.. Hę!... — zapytał, poprawiając czapkę, zasuniętą na czubek głowy. — Praktykant?.. He!..

— Ej, idź sobie, mówię ci! — upominał go surowo wyrostek.

Może pójdę, a może i nie... Droga dla wszystkich otwarta!

Rozstawił bose nogi, ręce włożył w kieszenie Kozaczki patrzyły zaciekawione, w szynku zrobiło się cicho, a dzieci, nawołując się, biegły ze wszech stron, co sił starczyło:

— Hej!.. hej!.. Chodźta prędko!.. Jaśko-uszędnik... widzicie, z praktykantem rozmawia. Czapkę zdjął!..

Istotnie pijak zdjął czapkę.

— Święci lu-dzie!.. Oj!.. wy!.. A ja tym czasem... w imie-niu pra-wa rozkazuję... i do.., was... wyciągam mą rękę!. Prak-ty-kan-cie!

Wyciągnął rękę i postąpił krok naprzód. Praktykant z uśmiechem patrzał na niego, ale ręki nie brał.

— Jasiek odczep się!.. Idź precz!.. — gniewnie krzyknął wyrostek i potrząsnął lejcami. — Hej! z drogi!.. — wołał na kupiących się ludzi.

W tejże chwili wybiegł z szynku chłopak młody, przystojny, jak topola, wysmukły w kurtce austrjackiej z zielonem obszyciem i w tyrolskim kapeluszu. W ręku miał dużą paczkę sprawunków, zawiniętych w papier,

— Panie Kolusiu!.. panie Kolusiu!.. Praktykanty ubliżają . nie rozmawiają... — skarżył się Jasiek, próbując biegnącego zatrzymać za rękaw. Koluś rzucił na wóz swoją paczkę, chwycił za broń i, nie wstrzymując wozu, w biegu na miejsce wskoczył.

— Jaki on śmieszny — rzekł nazwany praktykantem, wskazując Jaśka, w którego dzieci zaczęły rzucać kamykami i skorupkami od jaj.

— A teraz szanownego pana spytamy... w imieniu prawa, dlaczegoś nakupił takiej nędzy?

To mówiąc, podniósł do góry wiązkę kiełbasy, pokrytej białą pleśnią.

— Szynkarz upewniał, że... jeść można. Przysmażymy ją na patyczkach. A jeśli chcesz zaraz jeść, to mamy tu ser.

— Dobrześ powiedział: przysmażymy; ale pytanie, czy jest co smażyć?

Wyjął nóż z pochwy za pasem i rozciął kiełbasę

— Pachnie niezgorzej! Można jeść, choćby zaraz Gdzie chleb?

Zajadali z apetytem; a wóz tymczasem toczył się po gładko ubitej drodze w dolinie wśród wysokich gór, do szczytów porosłych lasami.

— Dlaczego, Olesiu, nie jesz? — zwrócił się do wyrostka Koluś.

— Nie jestem głodny. Mało macie, nie starczy wam, jeśli zanocujecie w górach. A na Dar-beg z pewnością nie dostaniecie się przed nocą

— Nie wiadomo: może i dostaniemy się... Zły zwyczaj — źle wróżyć. Źle także zastanawiać się, co w przyszłości będzie komu potrzebne. Na, masz kiełbasę i jedz bez żartów. Wronego nie oszczędzaj, a resztę Bogu pozostaw. Na Dar-begu musimy być dzisiaj, inaczej przepadły nasze kozy... A Koluś będzie płakał... abo nie? — spytał nagle, kładąc rękę na kolanie towarzysza.

— A jakże!... popędzaj go.. wałkonia! — sarkał woźnica, wymachując biczem. — Noo!... Niepotrzebnie kazał nam czekać Grzegórz; sam nie pojechał, a polowanie popsuł Dawno bylibyśmy na miejscu.

— Istotnie. z winy Grzegorza straciliśmy dzisiejszą noc — przywtórzył mu Koluś.

— Gniewać się niema o co. Grzegórz chciał szczerze pójść z nami i został się niechętnie — rzekł praktykant. — A jeśli nie zdążymy na wieczór, to będziemy tam rano — wielka rzecz! Patrzcie, widać Dar-beg!

Na zakręcie drogi w końcu wąwozu ukazała się grupa błękitnych gór. Ostre szczyty mieniły się w słońcu, jak korona, wysadzona turkusami. Sieć żyłek: „szczelin“, zagłębień i krawędzi tworzyła na ich stokach tak dziwnie przejrzystą plecionkę, że mogło się zdawać, iż to nie cień pada od skał, lecz lazurowe niebo prześwieca przez głazy. Z obu stron, niby słupy olbrzymich wrot, wznosiły się ciemne zbocza rozstrzelonego w tem miejscu górskiego łańcucha. Dołem biegło gęste, splątane pasmo lasów, łączące oba urwiska w podkowę Żółta nić drogi spokojnie szła w dal i nikła wśród lasów. Na zawrocie góry zemknęły się znowu, a z boku i z przodu spiętrzyły się jednostajnie zielone „szichany“ *), u których stóp legły opustoszałe już plantacje tytoniu, drobniuchne pólka zoranej roli i niezmierzone przestrzenie lasów.

Przebyli wbród kilka potoków górskich i wydostali się na nowo budującą się, jeszcze niewykończoną szosę. Wóz potoczył się wartko po ubitej drodze, mijając szałasy i lepianki robotników nieobecnych z powodu święta.

— Popędzaj, Olesiu, popędzaj! Hej, Wrony... a prędzej, leniuchu!...

Oleś bił batem leniucha, ale ten machał tylko ogonem, a kroku nie przyśpieszał. Już dobrze ciemno było, gdy stanęli u mostu nad spienionym potokiem. Nad głowicami gór wisiał jeszcze przejrzysty lazur nieba, słońce złociło niektóre szczyty, ale doliny i wąwozy wypełniały już cienie, zmrok brał lasy w swe posiadanie. U mostu rozstali się. Chłopiec z wozem pojechał szosą, a myśliwi, przekroczywszy potok, wązką drożyną skierowali się w boczną dolinę.

Noc zapadała szybko; w lesie, przez który wiodła drożyna, ciemno było, jak w piwnicy. Ljany i ciernie chwytały ich za odzież i biły po twarzy. W gęstwinie za ich zbliżeniem podnosił się ruch i gwar: budziły się zapewne do snu układające się płazy, ptaki i zwierzęta. Gdzieś w dali szumiał potok.

W przesmykach myśliwi szli szybko, przekonani, że zbłądzić nie pozwoli im gąszcz, ale na polankach, porosłych wysoką, zwartą trawą, lub w łożysku strumienia, gdzie ślad nawet w dzień był ledwie widzialny, zwalniali kroku. szli i wracali po kilka razy, nim trafili na właściwy tor.

— Dotychczas nie zbłądziliśmy — rzekł Koluś, który, jako bardziej doświadczony góral, był przewodnikiem w tej wyprawie. — Oto kubik kamieni, o którym nam mówiono, a tu czerkieska mogiła.

Istotnie, na boku czerniała gromada drzew ze strzelistą topolą pośrodku. Ścieżka szła dnem wąwozu, brzegiem ruczaju, przerzucając się wciąż przez jego kręte koryto. Brnęli przez wodę, skacząc po głazach, wystających nad nią. Spieszyli się, ale noc wyprzedziła ich. Gdy wreszcie wstąpili na pochyłość górską i znaleźli się na małej łączce, było już tam tak ciemno, jak w lesie. Ścieżkę zgubili w plątaninie traw. Zmieszani zatrzymali się przed gajem olbrzymiego łopuchu.

— Księżyc! — rzekł spokojnie Koluś, wskazując na ledwie dostrzegalny cień ich postaci na ziemi.

— Prawda, tylko go jeszcze za mało — rzekł Paweł — więc poczekamy, a ty, Kolusiu, zapal papierosa.

Usiedli na głazie. Księżyc nie śpieszył się wejść ponad szczyty, ale zwolna robiło się coraz widniej. Blask jego, odbijając się od skał, przenikał powietrze. Na ogromnych liściach łopuchu wkrótce zaiskrzyły się drobne kropelki rosy, a krawędź urwiska błysnęła i zapaliła się, jak nić srebra. Uciszone zachodem słońca lasy, zadźwięczały łagodnie; ozwała się skalna sowa, zabeczały kozice.

— Słyszysz? kozy... — szepnął Koluś, chwytając za broń. — Wiesz co, Pawle, poszukamy ich. Zrzekniemy się na dziś Darbegu!

— Nie... w żadnym razie! Co za polowanie po nocy w nieznanej miejscowości? Zresztą chciałbym koniecznie przed odjazdem pożegnać się ze wszystkiemi.

Koluś wstał, i ruszyli dalej. Wyminęli łysinę na stoku i znowu weszli do ciemnego

*) Szichan — miejscowa nazwa porosłego lasem łańcucha gór.

lasu. Blask miesiąca tu nie przenikał, tylko niekiedy pstrzył dróżkę jasnemi centkami, srebrzył liście i chropawą korę potężnych pni. A dokoła było ciemno, choć oko wykol. Postać Kolusia wciąż nikła i ukazywała się oczom Pawła.

— Poczekaj, gdzie jesteś?

— Tutaj!

I potrącali się wzajem, nie widząc. Nareszcie ścieżka z głębi lasu wywiodła ich na krawędź przepaści pełnej księżycowego światła. Strugami płynęło ono poprzez jakieś tajemnicze wyłomy w górach, biło gwałtownie w wapienną ścianę wąwozu i zapalało ją, jak puklerz srebrny, zielonawym odblaskiem wylewając się poza brzegi przepaści. Ścieżka szła brzegiem tejże przepaści, więc choć las rzucał swój cień na nią, zmrok był mniej gęsty; mogli się widzieć. Z każdą chwilą niemal było jaśniej; w miarę, jak dróżka zbliżała się ku szczelinie, rzedła poręcz lasu, aż w końcu zostały tylko pojedyńcze drzewa, zwieszone nad promienną głębią.

— Mój Boże, jakże to blisko! — nie mógł wstrzymać okrzyku Paweł.

— Nie patrz!.. nie spoglądaj!... śpiesz się!... Takie miejsca szybko przechodzić trzeba.

Szli więc szybko, stąpali na oślep, gdyż zmrok zawsze jeszcze zasłaniał tor drogi. A przecież dość było poślizgnąć się, jeden fałszywy krok uczynić!... Paweł czuł, że miał nerwy, jak struny, napięte. Nie patrzył w przepaść, lecz ciągle ją widział jasną, spokojną, tajemniczą, przemawiającą głosem potoku, ryczącego na jej dnie. Nogi mimowoli uciekały mu w przeciwną stronę, gdzie cierniem porosłe złomy nie mniejszem groziły niebezpieczeństwem. Więc zawracał, ale z takiem uczuciem, jakby stąpał po kołyszącej się wstędze. Kilkakrotnie tam, gdzie chciał nogę postawić, błysnęło z pod krzaków zdradzieckie światełko. Omal nie krzyknął, lecz wstyd mu było Kolusia, który szedł naprzód zawsze wesoły i rzeźki.

— Zaraz koniec. Przeszliśmy zręcznie... Mówili, że takich przesmyków będzie kilka — rzekł tenże zachęcająco.

Okrążyli przepaść, za ścieżką wkroczyli znowu w głąb lasu i wydostali się na krawędź tej skały, która im przyświecała wśród drogi.

— A teraz — spytał Paweł — gdzież ścieżka?

— Nie widzisz?... Oto ona!... — zaśmiał się Koluś i wskazał bladą smugę, wijącą się wzdłuż błyszczącej ściany wąwozu.

— Jasno! Mamy szczęście!...

— „Ciche noce w Ukrainie..." — zanucił półgłosem Paweł. Zniknęło wszelkie uczucie strachu. Wiedział, że przejść musi, więc dlaczego miał się trwożyć przedwcześnie. Co ma się stać, stanie się... A najpewniej nic się nie stanie! Nucąc wesoło, spuszczał się w dół, naśladując ruchy Kolusia, który, obuty w miękkie kaukaskie obuwie, zręcznie stąpał i skakał po nierównościach drogi. Paweł, świeży gość w górach, robił to niezgrabnie: kamienie i ziemia często obsypywały się z pod jego stóp i leciały w przepaść. On jednak nie czuł trwogi. Niezwykłość przechadzki, czar cudownej nocy upajały go coraz bardziej.

Nareszcie stanęli w wąwozie nad potokiem. Przeszli go, skacząc po kamieniach i zatrzymali się, nie wiedząc, gdzie droga. Przed niemi sterczała ogromna garbata góra, pokryta cieniem, a u jej stóp bielało wapienne rozsypisko. Z boku za skałami huczał wodospad. Paweł przestał śpiewać.

— Zdaje się, że to tędy — rzekł Koluś niepewnym głosem i ruszył na górę.

— Jest! — dodał po chwili radośnie.

Istotnie trafili na dróżkę. Nogi ich nabrały takiej wrażliwości, że przez obuwie poznawali charakter miejsc, po których stąpali. Szli drogą, czuli to dobrze, lecz czy to była droga ludzka, czy kozia, Bóg jeden tylko wiedział. Niteczką przerywaną, ledwie zauważyć się dającą, wiła się wśród skalnych rumowisk, porosłych cierniem i nędzną trawą, a przywiodła ich do jakichś płyt poszczerbionych, ułożonych w naturalne stopnie.

— Czekaj!

Koluś przykucnął i zapalił zapałkę. Z ciemności wypłynęły omszone głazy i kępy pożółkłych traw. Zapalił więc jeszcze jedną zapałkę.

— Ot, dróżka!... Zanadto zboczyliśmy na prawo...

Więc zawrócili i, czepiając się rękami za wystające krawędzie głazów — pełzli ku górze.

— Nigdy nie uwierzę, żeby tędy szła droga i w dodatku konna — mruknął Paweł.

— Ach, nie wiesz, jakie boskie oni mają wierzchowce!.. Tu jest pewnie to trudne przejście, o którem nam mówili, ale niedługie; a zaraz dalej las... a w lesie już, jak w domu

Ale lasu nie było widać, a przeciwnie nad niemi skalne załomy zdawały się występować bez końca.

— Obchodzimy zapewne garb góry... skalistą łysinę.. Stój!... Ani kroku!... — krzyknął nagle Koluś i w bok skoczył. U stóp jego poruszył się ogromny głaz i stoczył w dół, pozostawiając głębokie wyrwisko. Ogłuszający łoskot jego upadku, plusk wody i szmer kamieni, lecących za nim, tysiącznem echem rozległ się wśród gór.

— Cóżeś mówił, że tędy droga?

— Upewniam cię, że była... Czułem ją pod ręką... Może tutaj trzeba się spuścić.

— Chyba masz bzika.

(C. d. n.). *Wacław Sieroszewski.*

Arnold Boecklin

przez

OLĘ HANSONA.

(Ciąg dalszy).

Tołstoj, wielki Rosjanin, w rozwoju swej osobistości, w kolejnem następstwie swoich dzieł i ideałów, wykazuje ten sam temperament naszych czasów. On, który zrazu był tak ciemnym i nieprzeniknionym, ale zarazem tak niewyczerpanie bogatym, jak pierwotna przyroda w najodleglejszych okolicach jego olbrzymiej, a mistycznej ojczyzny, on to wreszcie w „Sonacie kreutzerowskiej“, dając widowisko z obnażonej rany swego własnego serca, sprawił na nas to samo wrażenie, jakbyśmy w samotnych, błąkających się wyprawach przez ten kraj, gdzie niegdyś hordy mongolskie koczowały. natrafili nagle na dżingishanową piramidę czaszek Gdyż w miejscu serca u tego temperamentu, który się okazał tak płodnym, jak sama matka ziemia a tak żywotnym, jak wegetacyjna nieświadomość — w miejscu, gdzie serce w tym temperamencie tkwić miało, tam była tylko pusta, czarna, zimna, jak grób, próżnia; popęd do zniszczenia, popęd, aby rękę położyć na tem w samym sobie, co jest życiem, instynktowny gniew przeciw organicznej istocie w samym sobie, który ongiś w barbarzyńskiej formie wprost przeciw ciału się wracał i wiódł do okrutnych okaleczeń, który jednak tu w formie wysubtelnionych duchowych objawów, przejawia się w wypaczeniu zmysłowej i uczuciowej podstawy miłości między mężczyzną a kobietą.

Takie przykłady możnaby w nieskończoność przytaczać.

Każdy z umysłów, reprezentujących teraźniejszość i każdą osobistość, mogłyby jako nowy przykład posłużyć. Przytoczę jeszcze Strindberga, gdyż on przedstawia przed innymi ten typ swoich czasów tak osobliwie. a tak dobitnie w specjalnym zakresie, mianowicie w zakresie intelektualnym. Czemże innem jest ten kolosalny i jak magazyn przepełniony mózg strindbergowski, jak nie chaosem, w którym się wszystko tłoczy, popycha, roztrąca łokciami, wywija koziołki, — jak nie orgją ideji, pochodem maskaradowym wszelakich myśli w teraźniejszości, pobojowiskiem pomiędzy masami myśli bez wodzów? Wszystko działa na ten mózg sukcesywnie; jedno jest dla niego równie nowe, jak drugie i zajmuje go z tą samą siłą, a nic nie może się zatrzymać o coś już istniejącego, a inteligencja przechodzi od każdej idei do jej przeciwieństwa bezpośrednio. Nowa myśl, lub nowa obserwacja, zaczerpnięta z jakiejś książki, lub też wprost z życia wzięta, przekształcają się natychmiast w tym umyśle w nową prawdę, w absolutną prawdę, w jedyną prawdę, w idée fixe. Jedyną formą, przez jaką ten mózg, który już nie jest w stanie więcej, niż jeden jedyny szereg idei, lub więcej, niż jedną tylko grupę faktów objąć i opanować, może wywierać wpływ i siłę czerpie, jest monomanja.

Zgodnie z tem typ Strindberga posiada indywidualne w niezwykłym stopniu znamię powszechnego typu naszych przeciążonych, bezinstynktowych i dlatego bezładnych czasów. Strindberga ogół produkcji daje jedynie obraz walki na śmierć i życie między wrogimi żywiołami, nieustannego wznoszenia się i opadania dwu szalek wagi. Strindberg po koleji uwielbiał fanatycznie najrozmaitsze poglądy na świat, aby następnie równie fanatycznie je zwalczać. Był więc po koleji dewotem, anarchistą, sceptykiem, socjalistą i nietschjanistą. Obecnie jest on nadczłowiekiem, który walczy przeciw tłumowi i Ewie, — mścicielem, co sam się powołał do zemsty wielkiego mózgu nad muszkułami robotniczymi i nad chytrością kobiecą. A prawdopodobnie będzie jeszcze różne inne ideały przyjmował i zwalczał, w tym samym szeregu kolejnym, w jakim one z biegiem czasu się pojawią. To jest naturalnem w latach młodych; ale jeśli trwa całe życie, jest objawem wewnętrznego, organicznego błędu, braku punktu ciężkości i równowagi i braku twórczego ciepła indywidualności. A ten mózg, którego cały rozwój polega na szeregu eksplozji neutralizacyjnych między przeciwbiegunowymi prądami elektrycznymi, jest niby mikrokosmem teraźniejszości, — tej teraźniejszości, z której niespokojnych mętnych fal, sztuka Böcklina podnosi się niby zaczarowana wyspa antyczna, oświetlona słońcem południa, pod południowem błękitnem niebem z połyskującym białym marmurem z pomiędzy ciemnej zieleni, wyspa, na którą my, ludzie nowożytni, tak chętnie wylądowujemy. instynkt bowiem nam powiada że my tam w sennem zadumaniu znaleść możemy nasz własny, zupełnie nasz własny spokój.

III.

Istnieje rodzaj spokoju życiowego, który możnaby nazwać praktycznym. Człowiek ma wrodzoną swej naturze potrzebę, aby „wygodnie się urządzić w życiu“; każdy na swój sposób zaspakaja tę potrzebę, ale początek i cel owego dążenia jest u wszystkich ten sam. Charakterystycznem dla tego rodzaju spokoju życiowego jest, że osiąga się go albo przez wrodzoną skromność pragnień, albo przez stopniowe dobrowolne zaniechanie pierwotnych pożądań. Filister posiada ten spokój życiowy; kto zaś w życiu doznał rozbicia, znaleźć go nie może.

Istnieje też inny rodzaj spokoju życiowego, który możnaby nazwać teoretycznym. Wszyscy wielcy metafizycy, którzy ujęli sobie życie w obejmujący wszystko system filozoficzny, zwłaszcza wszystkie poszczególne umysły i całe epoki, co zdołały wszechświat doprowadzić do harmonji ze swojem „ja" i w duchu tego odkrycia żyć potrafiły, posiadły ten spokój. Takim historycznym okresem był francuzki *ancien régime;* najwyższym zaś przykładem takiej grupy indywidualnych umysłów był Goethe. W twórczości Heysego lśni jeszcze słaby odblask tego spokoju życiowego, tu jednak już subtelnie ztonowany przez nieuchwytne odcienie chwilowe nowożytnego temperamentu.

Te oba rodzaje spokoju życiowego mają tą wspólność, że osiąga je rozum w niższych lub najwyższych swych funkcjach. Böcklinowski zaś spokój jest w przeciwieństwie do nich obydwu: spokojem instynktowym, żywotnym.

Dwóch nowożytnych poetów miało w swym temperamencie i w swej twórczości coś, co bliskiem jest tego, co ja böcklinowskim spokojem nazywam: J. P. Jakobsen i Turgeniew. Ale u pierwszego była to drżąca bezoddechowość zmartwiałego blasku księżycowego, u ostatniego zaś melancholijny spokój dnia jesiennego, gdy wszystko obumiera, zdrowe i chore najgorsze i najlepsze. Böcklinowski spokój jest ciepłem wypoczywaniem w godzinę południową pięknego lata, kiedy słońce u szczytu głęboko błękitnego nieba stoi.

Spokój południa, spokój lata, spokój żywotny, spokój instynktowy.

Osobliwszy spokój, który bezpośrednio, przymusowo bez współudziału widza z obrazów böcklinowskich się wydziela, nie jest czemś, co artysta rozmyślnie tchnął w obrazy; jestto jedynie w farby i formę przekształcony wizerunek jego instynktów. Farby i linje nie są czemś istotnem, nie dominującem, tworzą jedynie środek, który nadaje widoczny, konkretny wyraz, tkwiącej w głębi istoty artysty metodzie okazywania na zewnątrz swojego bytu i swoich uczuć. Spokój w jego obrazach nie jest niczem samoistnem dla siebie, to nic odosobnicnego z jego własnym bytem; nie jest niczem innem jak cząstką bytu böcklinowskiej istoty, cząstką bytu w tem, co jest treścią serdeczną indywidualności, z której wszystko wyrasta, cielesne formy i duchowe przymioty, a zarazem także owe organizmy, które zakwitłszy w jednym ze zmysłów, jako ton, czy jako barwa, bywają nazywane dziełami sztuki.

(Dok. nast.).

Z literatury powieściowej.

Szablonowe narzekania pewnego rodzaju krytyków na rzekomy „przerost" naszej literatury powieściowej, mniej jeszcze mają uzasadnienia, niż niejeden z tych utartych komunałów, które każdy powtarza, a w które nikt nie wierzy. Najlepszym bowiem dowodem, że rozwój tej literatury nieodpowiada naturalnym potrzebom, jest to, że tak wiele powieści u nas się jeszcze tłumaczy i to nietylko arcydzieł literatury powieściowej, ale przedewszystkiem tej sieczki, jak się niektórzy wyrażają, tej masy zadrukowanej bibuły, której przeznaczeniem jest ilością zaspakajać główny głód czytania. Czy ten głód jest objawem dobrym, czy złym, dyskutować w tej chwili nie będziemy, dość, że lepiejby było, aby go zaspakajano chlebem polskim, a nie francuskim, niemieckim lub angielskim.

Są nawet całe działy powieściopisarstwa, które u nas prawie nie istnieją, a które w imię interesu publiczności, jeżeli nie w imię interesu narodowego, stworzyćby wypadło. Tu należą tzw. romanse sensacyjne. Wiem, żem w tej chwili, w oczach ludzi, chodzących całe życie na literackich szczudłach, powiedział jedną z najokropniejszych herezji, ale spokojny jestem że każdy trzeźwo myślący, licząc się z faktami, przyzna mi słuszność.

Jeśli już bowiem niezaprzeczoną jest rzeczą, że pewna część publiczności bez sensacyjnych romansów obejść się nie może, to czyż nie lepiej, aby na nich zarabiali swojscy pisarze i swojscy wydawcy, żeby czytelnicy śledzili bieg zajmującej intrygi na tle swojskich nie obcych obyczajów, aby zamiast wczytywać się w zdarzenia z obcej historji, która tak często służy za podkład tego rodzaju utworom, poznawali dziejowe wypadki, jakie się rozgrywały na naszej, krwią przesiąkłej ziemi? Wtedy też takie przez Niemców na eksport dla nas fabrykowane romansidła np. „Jan Sobieski, czyli ślepa niewolnica z Sziras" nie szerzyłyby fałszów najsprzeczniejszych z naszą historją i z naszemi dążeniami narodowemi.

Zresztą nawet w tym zakresie twórczości można dojść do doskonałości, można pisać nawet arcydzieła, jak świadczą o tem niektóre powieści Dumasa, Dickensa i innych.

Jedną z głównych przeszkód, które większości naszych powieściopisarzy stałyby na dro-

dze do sensacyjnego romansu, jest brak konsekwetnej, a zajmującej fabuły. Nasi autorowie przywykli unikać sensacyjności, jak djabeł święconej wody i przez to wpadają w drugą ostateczność, w oschłość akcji, która z wyjątkiem najwybitniejszych, rzadko którego z nich opuszcza.

Do wyjątków tutaj wśród pisarzy młodszych, należy hr. Wincenty Łoś, którego właśnie pierwszą i najważniejszą zaletą jest żywa akcja i zajmujący tok opowiadania. Wprawdzie krytyka, zarzucając mu sensacyjność, spaczyła go już trochę, hr. Łoś bowiem niepotrzebnie próbuje się dostrajać teraz do tzw. „poważnego", czyli w gruncie rzeczy, monotonnego sposobu pisania, jednakże owe przymioty nie opuszczają go nawet w ostatniej jego powieści „Pannie Staryńskiej", wydanej w Warszawie, nakładem Sennewalda.

Hr. Łoś prócz wymienionych, ma jeszcze jeden ważny przymiot, ten mianowicie, że będąc galicyjskim arystokratą z rodu i tytułu, jest mimoto Europejczykiem... I tak, przedstawiając często walkę konserwatyzmu z postępem w swoich pismach, nie waha się niejednokrotnie i całkiem otwarcie stanąć po stronie postępu.

Tak i w „Pannie Staryńskiej". Bohaterka, jestto bogata, a w całem słowa znaczeniu postępowa panna, siostra i wychowanka założyciela radykalnego organu w Warszawie. Przeciw niej staje arystokrata z rodu, tytułu i przekonań, hr. Holsztyński Pomiędzy obojgiem zawiązuje się miłość, a raczej walka, na życie i śmierć przekonań jednej strony. Zwycięża w niej panna Staryńska której każdy postępek, bo nawet chwilowy upadek, wedle przedstawienia autora, ma jeszcze cechy pewnego bohaterstwa w porównaniu z marnem zachowaniem się arystokraty. Holsztyński ulega, żeni się ze Staryńską, aby przejść do jej obozu, aby zahartować się w ogniu jej miłości.

Wadą, która niesłychanie obniża wartość powieści hr. Łosia, zasługujących zresztą na poczytność, jaką się cieszą, jest nadzwyczaj płytki, a nawet pobieżny i szablonowy rysunek charakterów. Ponieważ zaś zasób zajmujących sytuacji jest niewielki, a autor nie urozmaica ich różnorodnością charakterów, więc powieści jego wzięte razem, dają wrażenie zbyt częstego powtarzania się. Do ciężkich również grzechów autora należy policzyć styl niewyszukany, a język wprost zaniedbany.

Pomiędzy autorami, którzy wystąpili na widownię ostatniemi dopiero czasy, znajduje się jeden, nieodznaczający się wprawdzie potęgą talentu, mający go jednak dość, aby wobec niego uczuć potrzebę ostrzeżenia go, że się znajduje na najniewłaściwszej dla siebie drodze. Jestto p. Adam Krajewski, który w dość krótkim czasie wypuścił w świat dwa spore tomy, dwie powieści: „Aż na dno", nakład Księgarni Polskiej we Lwowie i „Kątem" nakład Jakubowskiego i Zadurowicza. Jedna i druga powieść zaczerpnięta jest z życia najnędzniejszego, przedmiejskiego proletarjatu lwowskiego. W pierwszej „Aż na dno" zepsucia moralnego staczają się piękna przedmiejska dziewczyna, niewiadomego pochodzenia, bałamucący ją zamożny rzeźnik i nieszczęśliwy jej wielbiciel, lampiarz przedmiejski; w — drugiej, wśród gromady ludzi mieszkających „kątem" w jakiejś norze, zawiązują się intrygi i romanse, tworzą tragiczne sytuacje, łamią się charaktery, lub na stal wyrabiają. Jedno i drugie jest doskonałym tematem do społecznej powieści, cóż kiedy p. Krajewski nie ma najmniejszej kwalifikacji na społecznego powieściopisarza. Tam gdzie, potrzebaby zająć czytelnika głębokością i dokładnością charakterystyki, tam się staje rozwlekły i zagmatwany, gdzie należałoby w silnej scenie ześrodkować, skupić efekt społeczny powieści, tam wpada w ckliwe moralizatorstwo. Jednakże umie czasami szarpnąć za nerwy, umie zawiązać nić zajmującej akcji, choć ją potem dobrowolnie przerywa, co przy znajomości sfer, które zazwyczaj w powieściach sensacyjnych stanowią główne tło pozwala przypuszczać, że właśnie p. Krajewski jest jednym z talentów, dla którego sensacyjny romans byłby bardzo odpowiedniem, a zapewne i pomyślnem polem działania. Mojem zdaniem p. Krajewski może w tym zakresie dójść do poważnych rezultatów, jeżeli zechce i jeżeli popracuje nad oczyszczeniem języka swoich powieści i wygładzeniem ich stylu, jeden bowiem i drugi dzisiaj przygnieciony jest, niby chwastami, rażącymi nieraz błędami.

Na pewne bądź co bądź uznanie, którego niepodobna było odmówić p. Krajewskiemu, trudno się natomiast zdobyć wobec A. Kallasa (Anieli Korngutówny) „Rzezi galicyjskiej". O tej książce można krótko powiedzieć: tak się powieści nie pisze. Jeżeli się weźmie wypisy z broszurek o r. 1846 i poprzeplata je szablonowemi, bez talentu nakreślonemi scenami, to pozostaną one niczem innem, jak wypisami, ale nigdy nie będą powieścią. Nawet wobec naiwności przed stu niemal laty powstałych naszych pierwszych powieści robota „Rzezi galicyjskiej" jest za naiwną. Nad p. Korngutówną mimoto laski jeszcze łamać nie myślę, wśród dawniejszych jej bowiem utworów znajdowałem lepsze, o wiele lepsze od niniejszej powieści.

Nakoniec wzmianka o powieści „Raj świata" Alojzego Jiraska, przełożonej na polskie przez dr. Franciszka Krczeka. Wedle intencji autora ma to być obraz dziejowy, którego dziejowość polega na tem, że

akcja rozgrywa się we Wiedniu, podczas kongresu wiedeńskiego w latach 1814 do 1815. Pozatem zresztą wszystko mogłoby się równie dobrze odbyć dziś, jak przed 80 laty. W „Raju świata“ przedstawiona jest bardzo piękna Polka, w której się kocha bardzo bałamutny malarz Francuz, zdradzający ją w końcu, i bardzo dzielny muzyk, ideał charakteru męzkiego, naturalnie Czech, który swoją miłością i poświęceniem zwycięża wszystkie przeszkody i zostaje mężem pięknej Polki

Porównując utwór Jiraska, z naszemi nowożytnemi powieściami, odkrywany w „Raju świata“ taką naiwność roboty, jaka możliwą jest na niwie literackiej, gdzie powieściopisarstwo ledwo kiełkować poczyna. Czuć, że ci ludzie, co piszą powieści czeskie znajdują się dopiero w pierwszym okresie twórczości, że są w fazie szukania i próbowania, że wskutek tego stawiają kroki nieśmiało i niepewnie. Mimoto, jako zaletę Jiraska wymienić należy, że starał się uczynić swoją powieść zajmującą i że mu się to w znacznej części udało.

Co do przekładu, dokonanego przez Franciszka Krczeka, to niepodobna się o nim inaczej wyrazić, jak z zupełną pochwałą, na którą p. Krczek zasługuje też za gorliwe propagowanie u nas wzajemności literackiej z Czechami.

W. Dbr.

Przegląd pism.

Piękną ozdobą „Wędrowca“ stanowi drukujące się w tem piśmie od początku bieżącego roku »studjum estetyczno historyczne Wiktora Gomulickiego p. t. »Piękna«. Wykształconem na poezji piórem, giętkiem i barwnem autor kreśli — podług tego jak materjału starczy — pół profile, sylwetki lub starannie wykończone portrety *en face* „*pięknych*“, do rozmaitych narodów i epok należących.

Po niewiastach biblijnych, już to czystych i ofiarnych, już bohaterskich i tragicznych lub mściwych i lubieżnych, przesunęły się tu przed okiem czytelnika, niby w bajecznym jakimś korowodzie, posągowe typy klasycznego świata, urocze syreny dalekiego Wschodu i jak one wabiące — lubo nieświadome potęgi swych czarów — naiwne pasterki. W oryginalnej tej wędrówce, przedsięwziętej w pogoni za »piękną« przez kraje i stulecia, autor dociera nareszcie do wieków średnich i na ponurem ich tle, »purpurowem od krwi, czarnem od dymu stosów katowskich« ukazuje postacie niewieście idealnie piękne. A jedno z pierwszych miejsc w świetlanem tem gronie zajmuje nasza Jadwiga.

Historja nie przekazała nam autentycznego portretu tej, którą naród polski kochał, jak źrenicę oka, której pamięć otacza po dziś dzień wdzięcznością i pjetyzmem. Ogólnikowe zaledwie wzmianki o powierzchowności Jadwigi spotykamy u swoich i obcych. »Urody była nadobnej — pisze Długosz — ale najozdobniejsza cnotą i pięknemi obyczajami. Żadnej nie widzimy w niej płochości, żadnego gniewu; nikomu nie okazała pychy, zawiści i niechęci«. Bielski, pisząc o Jadwidze, nazywa ją »białogłową tak cudną, jako jedna Helena«. Włoski jakiś autor twierdzi, że »wszystkie strony świata napełnione są chwałą piękności królowej polskiej« i nazywa tę piękność *chiare e splendide* Szajnocha nakoniec, który Jadwidze i jej małżonkowi czterotomowe poświęcił dzieło, podaje następujący opis pieczęci królowej: »Widzimy tam w bardzo misternej robocie, na tronie w kształcie gotycko rzeźbionego ołtarza, o dwóch szeroko rozwartych podwojach czyli niżach, tejże struktury, młodocianą wyniosłą postać dziewiczą. Pod rozsłonionym płaszczem królewskim rysuje się smukła kibić w obcisłym, aż pod szyję zapiętym stroju. Wysoka korona na głowie osobliwszym uderza kształtem. Składa się ona naprzód z szerokiej, kamieniami wysadzonej obrączki, z której wysokiemi łodygami wystrzelają dokoła lilje rozkwitłe. Pomiędzy każdą parą kwiatów tkwi niższy pręcik liljowy, zakończony pączkiem zamkniętym. Roztworzyste kielichy wyższych lilji unoszą się po nad niemi nadobnym wieńcem u góry. Z pod korony spływają dokoła, według francuskiej onego czasu mody, długie, szerokie wstęgi. Prawa ręka trzyma wysokie berło, rozkwitające podobnież liljowym w górze kielichem. W niżach z prawej i z lewej strony stoją dwaj aniołowie«.

Smukła postać dziewicza w otoczeniu aniołów i lilji... Uroczy, symboliczny, lecz jakże mało cech indywidualnych posiadający wizerunek. Gdzie jednak mgła niewiadomości przyćmiewa kontury świata rzeczywistego, tam twórcza wyobraźnia poetów i artystów najszersze znajduje dla siebie pole. Wiele też piór znakomitych i pendzli najcelniejszych próbowało odtworzyć świetlaną postać królowej, »świętej pani« jak ją nazywali współcześni, — wielu próbowało, ale nikt nie wywiązał się z podjętego zadania szczęśliwiej od niezrównanych malarzy swojskiej przeszłości: Matejki i Sienkiewicza.

M. W.

Wiadomości bibljograficzne.

„LUD“ organ Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie, pod redakcją dra *Antoniego Kaliny*, tom III. — zeszyt 4. Treść: *Jan Witort:* Zarysy prawa zwyczajowego ludu litewskiego. *Bron. Koskowski:* O mieszkaniach i żywieniu się Żydów małomiasteczkowych w Królestwie Polskiem (z tablicą). *Dr. Karol Matyás:* Ludowe nazwy miejscowe w powiecie Brzeskim w Galicji. *Ludwik Młynek:* Uwagi nad pieśniami ludu wielickiego. Rozbiory i sprawozdania. — Polemika. — Sprawy towarzystwa.

Z drukarni Z. Golloba.